

Matka



KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

Matka

Pani Głowacka siedziała zamknięta w kręgu światła niewielkiej lampy stojącej na stole. Czytała pracowicie. Właśnie nie inaczej, a pracowicie i z wysiłkiem. Litery układały się przed jej oczami w puste zdania, nic niezawierające. Co pewien czas spostrzegała, że przeczytawszy stronę, nie potrafiłaby powtórzyć jej treści. Więc znów pracowicie, starając się uważać jak najlepiej, odczytywała po raz drugi i trzeci to samo. Zmudna to była praca. Cały czas niepokój zwyciężał łęk, która przesuwiała się przed jej oczami.

Było to mocowanie się jej łeku z cienkim wątkiem książki. Co chwila przerywała czytanie i mimochodem, ukradkiem zerkając na fotografię Julka, sama przed sobą się ukrywając. Znów rozległy się przeraźliwe syreny, które jednak, jak niecelne strzały, prześliznęły się mimo niej. Nieomal ich nie słyszała. Było jej obojętne wszystko. Bombardowanie, wojna, choroba, która podkopywała jej siły coraz bardziej. Julek, Julek — to były jedyne słowa, które wychodziły z jej ust, kiedy pragnęła wypowiedzieć swój lęk, swoje cierpienie.

Tymczasem slychać już było z podwórza pokrzykiwania spłoszonych ludzi, hałas zamkniętej bramy i wrzask radia z kilku mieszkań: „Uwaga, uwaga, nadchodzi!”¹ Głos przyszywający, do głębi przejmujący swoim ostrzegawczym, groźącym tonem. To dopiero obudziło z letargu panią Helenę.

Przypomniła sobie swój obowiązek, swoją służbę, i niechętnie, powoli, ciągle otępiała jeszcze, zaczęła się ubierać.

Kiedy zeszła na dół, w bramie tłoczyli się ludzie i rozmawiali, podnieceni, nerwowi:

— Złapali jednego drania dzisiaj.

— Gdzie, panie, gdzie?

— O, tu stoi, też go przed nalotem schowali.

Pani Helena rzuciła okiem w tę stronę. Stali tam dwaj polscy żołnierze, zaspani i znużeni, w niezbyt dobrze dopasowanych płaszczach, a między nimi on — Wróg. Młody, może dziewiętnastoletni chłopiec w zgrabnym, szarym mundurze. Oczy miał wytrzeszczone, jakby w wielkim wysiłku, spojrzenie tępe i bezduszne.

— Takie ścierwo od razu pod mur trzeba — powiedział ktoś głośno.

Jeniec² spojrział w kierunku mówiącego bladymi, niebieskimi oczami, jakby czuł, że to o nim mowa.

Pani Helenie zrobiło się nagle żal Niemca. Taki młody. Jakby wiedział, że mówi o nim. Przyłgął wzrokiem do warg mówiącego, jakby chciał zrozumieć, rozsypać te obce, twarde wyrazy. Jeniec w tej chwili spojrział jeszcze raz na tego, kto powiedział ten krótki i jednoznaczny wyrok, i nagle uśmiechnął się.

— Biedak — szepnęła jakaś kobieta w chustce. — Oj, źle na wojnie, co? — powiedziała do jeńca. — Pewno prosto od matki wzięli — zwróciła się do przypatrującego się tłumowi.

— Pewnie, toż to chłopak jeszcze — wysapał przez wąsy dozorca.

— Tak, tak, litujcie się, litujcie. Ale to głupi z nas naród, jak Boga kocham — zaczął pan Henryk Kalinowski z trzeciego piętra. W tej chwili spostrzegł panią Helenę i uklonił się. — My — mówił dalej — my nad każdym łotrem się litujemy, tylko nad nami nikt się nie zlituje. Zobaczycie, jakby broń Boże, co się stało i oni by u nas rządili, toby nam

¹ *Uwaga, uwaga, nadchodzi!* — komunikat nadawany przez radio w trakcie obrony Warszawy podczas II wojny światowej. Zawierał zaszyfrowane informacje o tym, gdzie nadlatują niemieckie bombowce. [przypis edytorski]

² *jeniec* — żołnierz wzięty do niewoli. [przypis edytorski]

oczy żywcem wydzielali. Mówią już, że pod Poznaniem wszystkich mężczyzn i chłopców na samochody i — w nieznane.³ Hitler pisał, że Polacy to naród, który trzeba co do nogi wytępić...

— Tak się mówi, panie tego, ale to plotki. Niemcy też ludzie, tak znów mordować toby nas nie mordowali. Przecie bezbronnego narodu i najgorszy drań rznać nie będzie.

— Nie będzie, no, no, no, co pan powie — Kalinowski wzruszył ramionami i odszedł.

— Powietrze drżało. Teraz słychać było już wyraźne, nierówne warczenie obciążonych maszyn. Do bramy wpadł ktoś jeszcze w szalonym pośpiechu i usłyszano pierwszą ciężką detonację.

Pani Helena pomyślała jeszcze: „Taki chłopak, pewno ma z osiemnaście lat, jak Julek. I Julek może teraz...”

Dom wstrząsnął się cały i z góry, gdzieś z sufitu bramy, spadło kilka cegieł. Pani Głowacka uczuła, jak pęd powietrza uderza w jej plecy, i upadła na ziemię. Przez chwilę słychać było łoskot walących się ścian i huk gruzu rozsypującego się po ziemi. Wszystko przykrył ciężki tuman dymu i kurzu.

Podnosząc się, zauważyła, że wokoło ludzie cali są unurzani w czarnym pyłe i tylko oczodoły, niepokryte czarną mąką, świecą jak trupie.

Dwu było rannych. Dozorca i jeniec. Franciszek jęczał cicho, kiedy położono go na prowizorycznych noszach, i kłął strasznie, ciężkimi, dosadnymi słowami. Belka żelazna upadając, strzaskała mu ramię. Wił się z bólu i kurczowo trzymał za rękaw płaczącą żonę. Potem, nie mogąc już wytrzymać bólu, zaczął płakać: „O Boże mój, Boże”.

Jeniec leżał blady, ranny w głowę, i spod jasnych włosów wąskim strumykiem sączyła mu się krew. Żołnierze zapalili papierosy i z twarzami czarnymi jeszcze od pyłu jeli majstrować z płaszców jakieś nosze.

— Niech cię — powiedział jeden. — Jeszcze ciebie, cholero, muszę ratować, a wczoraj sam pewno z kilkadziesiąt osób zabił.

— To lotnik? — zainteresował się ktoś z tłumu. Żołnierz nie odpowiedział. Splunął tylko i zaczął opatrywać głowę Niemca chustką do nosa.

„A Julek też może teraz... — pomyślała pani Helena. — Nie, nie, nie. Boże, zlituj się nad nim”.

*

Z daleka dochodziły jeszcze odgłosy detonacji i świst kul armatnich.

— Znów szkopy⁴ atakują — powiedział pan Kalinowski.

— Może pójdzie pan ze mną po chleb, panie Henryku, dobrze? Staś i Piotrek pewno dziś będą na kolacji.

Szli więc razem ulicą, która z wolna zaczęła się znów zaludniać.

Minęli ich idący szybkim krokiem sanitariusze, prowadzący jakiegoś rannego, potem ze świstem przemknęła karetka Czerwonego Krzyża⁵.

— Znów natłuki ludzi. Co za podłość, co za podłość — szeptał Kalinowski.

Przed sklepem stało ze dwadzieścia osób „w ogonku”.

— Jest już chleb? — spytała pani Głowacka.

— Tylko patrzeć, o, już wydaje! — zawołał jakiś chłopak.

„Ten nawet podobny do Julka — pomyślała pani Helena. — Włosy ma takie jasne i ten sam wzrost będzie miał. Nawet takie szare ubranie, w jakim Julek wyszedł”.

Chłopak tymczasem perorował⁶ zawzięcie z dwiema kobietami, które widać rozpoczęły z nim rozmowę.

³Mówią już, że pod Poznaniem wszystkich mężczyzn i chłopców na samochody i — w nieznane. — zdolnych do pracy mężczyzn i dzieci wywożono do obozów pracy przymusowej, więzień lub na roboty do Niemiec. Często odbywało się to w sposób nagły, bez uprzedzenia, a zatrzymanych zabierano w nieznane, czyli bez wiedzy rodzin, gdzie trafili i co się z nimi stało. [przypis edytorski]

⁴szkop (pogard.) — Niemiec, żołnierz hitlerowskich wojsk okupacyjnych w czasach II wojny światowej. [przypis edytorski]

⁵Czerwony Krzyż — międzynarodowy ruch humanitarny. W przypadku wojny czy katastrofy dostarcza żywność, leki, opiekę medyczną, organizuje wymianę informacji o zaginionych oraz dba o przestrzeganie prawa humanitarnego. [przypis edytorski]

⁶perorować — rozwodzić się nad czymś, przemawiać. [przypis edytorski]

— O, nie damy się, proszę pani. Dzisiaj chociażby... Już dziesięć samolotów im strącili. Nasi to dobrze strzelają. Zresztą dużo nas jeszcze, tylko czekamy, kiedy broń nową dadzą.

— Wytluką nas wszystkich — powiedziała wtedy jedna z kobiet. — Wszystkich wytluką jak muchy w garnku. Toć co nasi im zrobią tymi kilkoma armatami.

— Ale duch jest — zaperzył się⁷ chłopak. — Jak to wytluką? Jak będziemy jęczeć, to jeszcze gorzej będzie. Tu idzie o Polskę, rozumie pani, o Polskę, a nie tam o tych, co ich wytluką. Wszystkich nie wytluką.

„I tak się zaperzył jak Julek zupełnie, kiedy chce kogoś przekonać, a nie ma dość argumentów” — pomyślała pani Helena.

— Dzielny chłopak, co? Takich nam więcej trzeba — powiedział Kalinowski. — Ale widzi pani, jaki on do pana Julka podobny?

— Właśnie.

W tej chwili jak spod ziemi wytrysnął na niebo ciemny cień skrzydeł. Ryknął motor, podrywając się tuż nad ziemią, i całkiem z bliska ukazał się samolot. Widać było czarne głowy w kaskach lotniczych.

Rozległ się terkot strzałów karabinu maszynowego, który głośnie łoskotem, jakby kto przejechał patykiem po parkanie, rozsypał się po murze. Ludzie czekający przed sklepem przypadli do ściany.

— Rany boskie, w nas strzela! — krzyknęła jedna z kobiet.

Wszyscy umilkli i w skupieniu ogromnym mocowali się z czasem. Było to kilka sekund, zanim maszyna rycząc posunęła się jeszcze bliżej i rozległa się nowa seria.

Ktoś krzyknął. Usłyszano łoskot ciał padających, posypały się szyby i krew trysnęła na mur i wystawę sklepu.

Ludzie podnieśli głowy.

Dwie kobiety i chłopiec z jasnymi włosami leżeli bezwładnie pod ścianą domu. Kobiety dogorywały. Były nieprzytomne. Chłopiec przez chwilę trzepotał rękami po bruku. Szukał czegoś wokoło szklanym wzrokiem, wreszcie opuścił głowę uniesioną w wysiłku. Piana wystąpiła mu na usta.

— Mamo — wyszeptał. — Mamo.

Pani Helena straciła przytomność.

Dopiero po kilkunastu minutach otworzyła oczy. Pan Kalinowski stał nad nią, uniośł ją i oparł o ścianę domu. Uśmiechał się błado:

— No, niechże pani się uspokoi — mówił, podając jej jakiś obtłuczony kubek z wodą.

— Trzeba się trzymać. Toć pan Julek jest tam na pewno bezpieczniejszy w lasach albo i na wsi, gdzie się łatwiej schować.

Znów wzmożła się kanonada⁸ i wyraźnie słychać było huk rozrywających się szrapneli⁹ na sąsiednich ulicach.

— A Piotrek i Stach tam w ogniu — wyszeptała pani Helena.

— No, da Bóg, nic im nie będzie. Dzielni żołnierze, dzielni. Takich zuchów kule się nie imają — pocieszał Kalinowski. — Wie pani co, chodźmy do mnie, napije się pani trochę herbaty z koniakiem, żona zaraz zagotuje.

*

Wieczorem znów pani Głowacka czekała u siebie w pokoju. Szyby wprawdzie wyleciały podczas uderzenia bomby, ale pogoda była tak piękna, że nawet wiatr nie poruszał zwisających na oknie firanek.

— Już ósma — powiedział pan Henryk, który przyszedł tu z żoną, aby móc, jak to powiedział, „obejrzeć sobie tych zuchów”.

— Może im się co stało? — niepokoila się pani Głowacka.

⁷zaperzyć się — unieść się gniewem. [przypis edytorski]

⁸kanonada — silny, głośnie i ciągle ostrzał artyleryjski. [przypis edytorski]

⁹szrapnel — pocisk artyleryjski wypełniony kulkami, które rozpryskują się, gdy zadziała zapalnik czasowy; też: odłamek takiego pocisku. [przypis edytorski]

— E, nic, nic, zaraz przyjdą, *à la guerre comme à la guerre*¹⁰, to nie zabawa. Przecież nie mogą zameldować się do kapitana podczas walki: „Melduję posłusznie, panie kapitanie, że muszę odmaszerować na kolację”. Ale, ale, słyszałem, że tam wcale nie ma Niemców, gdzie nasi chłopcy wywędrawali.

— A ja słyszałam, że na szosie pod Warszawą z karabinów maszynowych ostrzeliwali wszystkich uchodźców, nawet bomby rzucali. A tam Juleczek... Już wołałabym, żeby tu był, żeby walczył, a nie tak prawie bez grosza, bez ciepłego ubrania wyszedł i Bóg wie, co z nim się dzieje. Ale do armii go nie wzięli, bałam się, żeby tu został, bo mówili, że wszystkich mężczyzn Niemcy wywożą, to i pozwoliłam mu iść. A cóż ja najlepszego zrobiłam. Od czasu, jak wyszedł z Warszawy siódmego, nie mam żadnej wiadomości. A tam na tych szosach masakra podobno.

— Proszę pani kochanej, nie jest tak źle, nie jest tak źle — pocieszał niepewnie Kalinowski.

Rozległ się dzwonek. Pani Głowacka zerwała się od stołu i pobięła otworzyć. Był to Piotr.

Po chwili, jeszcze od drzwi nie odeszła, nowy dzwonek: Stach.

— Mamo — pytali. — Co się tu stało? Brama potrzaskana? Zdrowa jesteś? — Bawdawczo patrzyli jej w oczy.

— Nic, nic, bomba upadła obok i szrapnel w bramę uderzył. Stary Franciszek, biedak, ciężko ranny. Bardzoście zmęczeni? Staśku, Piotrusiu, chodźcie, zaraz wam podam kawy. Już gotowa. Są państwo Kalinowscy — Z radości nie wiedziała, jak ich witać, co zastawić tym jeszcze na jeden dzień cudownie uratowanym synom.

Weszli zmordowani, brudni, w zabłoconych mundurach, w hełmach bojowych. Stach postawił karabin przy drzwiach, ściągnął chlebak¹¹ i zrolowany pled¹². Piotr odpiął pas z rewolwerem i rzucił na kanapę. Zdjęli hełmy. Twarze mieli brudne, blade. Kosmyki włosów przylepiały się do czoł. Stach mrknął: „Dzień dobry” w kierunku państwa Kalinowskich i zwałił się ciężko na kanapę. Jego młoda twarz porysowana była wąskimi bruzdami, cała postać wyrażała największe znużenie. Wyciągnął z kieszeni paczkę zawiniętą w brudną gazetę, na chwilę uśmiechnął się do matki tym najczulszym, synowskim uśmiechem, jednocześnie ledwo dostrzegalnym i pełnym słodczy, i podał jej zawiniątko.

— Suchary, przydziałowe, wiesz, te doskonałe, pszenne.

Pani Helenie lzy ukazały się w oczach.

— Synku, i ty jeszcze o takich rzeczach masz czas myśleć — Pocałowała go w brudną rękę. Stach wyrwał dłoń i zarumienił się ze wstydu. Spojrzał znacząco w kierunku państwa Kalinowskich. Wreszcie wziął swoją filiżankę z gorącą kawą i parząc się, pił szybko i chciwie.

Piotr tymczasem przywitał się z Kalinowskimi, usiadł przy stole i zaczął cichą rozmowę z panem Henrykiem o sytuacji w Wilanowie.

— Już byli, ścierwa, tuż, przy naszych placówkach, na sadybie¹³ oficerskiej, aleśmy im dali łanie.

Piotr był oficerem i pracował przy sztabie¹⁴. Powodziło mu się lepiej niż Stachowi, który w stopniu kaprała walczył w okopach na Żoliborzu. Toteż Piotr, mniej zmęczony, odsapnąwszy nieco i napiwszy się kawy, na dobre rozgadał się z Kalinowskimi. Opowiadał o ataku czołgów niemieckich na jedno z przedmieść.

— Wtedy ci chłopcy zza domu nagle wpadają na nich (powiadam panu, może po siedemnaście lat chłopaki) i butlami z benzyną biją w maszyny... Huku było przy tym i dymu, ale wewnątrz wszystkich co do jednego szlag trafił...

Pani Helena tymczasem usiadła przy Stachu i gładząc nieznacznie jego rękę, opowiadała mu o swoich zmartwieniach, o niepokoju. Stach nic nie odpowiadał. Siedział, dysząc ciężko, i nieznacznie oczy mu się zamknęły. Usnął. Pani Helena dała rozmawiającym znak ręką, żeby mówili ciszej.

¹⁰*à la guerre comme à la guerre* (fr.) — na wojnie, jak to na wojnie. [przypis edytorski]

¹¹*chlebak* — żołnierska torba z nieprzemakalnego płótna lub ze skóry, służył m.in. do przechowywania żywności. [przypis edytorski]

¹²*pled* — gruby koc. [przypis edytorski]

¹³*sadyba* (daw.) — siedziba, osiedle. [przypis edytorski]

¹⁴*sztab* — dowództwo. [przypis edytorski]

Piotr roześmiał się:

— Ależ masz kłopot z tymi synami. Teraz ci ten znów usnął w towarzystwie. A właśnie chciałem wam powiedzieć, że Stacha przedstawił jego kapitan do Krzyża Walecznych¹⁵. Widziałem listę u generała. A ten ścichapek¹⁶ nic nie mówił. Zrobił wypad z piętnastoma ludźmi i granatami znieśli placówkę niemiecką... To nie byle co!

Kalinowscy spojrzeli z zaciekawieniem na Stacha, jakby teraz objawił im się jako zupełnie ktoś inny.

— Psiakość — wymamrotał Kalinowski z podziwem. Pani Kalinowska uściśnęła rękę matce.

— Taki dzielny.

Stach tymczasem pólleżał na kanapie i chrapał donośnie.

— No, trzeba się zbierać — Piotr wstał i zaczął zapinać pas. — A Stacha ci zostawię, mamo, jeszcze na kilkanaście minut. Obudź go i wypraw, żeby nie zasnął.

Pożegnał się z Kalinowskimi, z matką i wyszedł. Kalinowscy poszli do domu. Stach spał ciągle i matka z żalem musiała go zbudzić.

— Musisz iść, synku.

— Już? Już? Nie, jeszcze chwilę, jeszcze chwilę — bronił się jak mały, rozespany chłopiec. — Już nie chcę tam iść. Dziś nie wyjdę. Potem...

Wreszcie rozbudził się zupełnie. Mętym wzrokiem powiódł po sprzętach:

— No, idę już, mamo.

— Synku, boję się, ach, żebyś mógł zostać.

Stach na chwilę uczuł¹⁷, jak wszystko kurczy się w nim boleśnie i odbiega go cała odwaga. Poczul przez sekundę, jak lodowaty strach chwyta go w swoje kleszcze. Przemógł się jednak i roześmiał z przymusem:

— Ależ, mamo, jakże mogę zostać. A zresztą, nic mi się nie stanie. Ot, Julek biedniejszy, sam, nie ma nawet ciebie — rzucił jako ostatni atut, ażeby oderwać matkę i siebie od tego niepokoju, który nurtował ich oboje. Chciał przerzucić ten lęk w jakimkolwiek kierunku. Wybrał Julka i wybrał najtrafniej.

Znów niepokój o Julka zajął całą myśl pani Heleny. Ucałowali się mocno na pożegnanie. Stach wziął karabin, pleś, chlebak i pewnym krokiem schodził ze schodów. Znów był spokojnym, opanowanym żołnierzem. W bramie potknął się o jakieś gruzu.

Kiedy szedł już ulicą, nagle zawyły syreny i jednocześnie z nimi usłyszał bliski głuchy poryk silników.

„Do diabła, jak ja teraz będę wyglądał przed porucznikiem. Odszedłem na godzinę, a wrócę — Bóg wie kiedy. Przeklęty nalot”.

Przyjechał tu ciężarówką, która się akurat nawinęła, i jak najprędzej miał wracać. Szedł w ciemnościach, potykając się i klnąc co chwila. Tymczasem huk silników wzmógł się i rozległy się pierwsze detonacje. Bomby padały niedaleko. Ziemia drżała. Wokoło sypały się szyby i nawet jeden z odłamków szkła zranił Stacha w rękę. „A diabli, diabli, jeszcze tego brakło”. Z nieustannego huku samolotów wyniknął niespodziewanie jeden bliski, świszczący ryk maszyny, przed którym mimowolnie schylił głowę. Nagle dom naprzeciwko dziwnie podniósł się z miejsca, jakby westchnął głęboko. Z wolna otworzyły się szczeliny w murach i runął. Stacha zbił z nóg pęd powietrza. Rozlegał się wkoło jazgot alarmów pożarnych i krzyk spieszących ludzi. Stach poderwał się z ziemi i biegł szybko, coraz prędzej środkiem chodnika. Potrącał spłoszonych ludzi. Jakież konie zaplątały się w zerwane przewody elektryczne i widocznie ranne, kwiczały strasznie, rozdzierająco. Stach biegł dalej.

— Co za piekło, co za piekło — szeptał do siebie, zarzucając spadający mu z ramion chlebak.

Nagle z czarnej celuści zwałonej bramy dobiegł go jęk:

— Panie, panie... pomocy... obie nogi, oo... o... — ktoś zacharczał i umilkł.

Stach zachnął się i pomyślał: „Nie jestem sanitariuszem, nie mam czasu. Już prędzej, tylko prędzej”. Podbiegł kilka kroków i zatrzymał się. Zobaczył w wyobraźni konającego

¹⁵Krzyż Walecznych — odznaczenie wojskowe przyznawane za męstwo i wybitne osiągnięcia w walce. [przypis edytorski]

¹⁶ścichapek (żart.) — ktoś pozornie cichy, ale zdolny do niespodziewanych zachowań. [przypis edytorski]

¹⁷uczuć (daw.) — odnieść wrażenie, poczuć emocje. [przypis edytorski]

człowieka pod gruzami, z nogami przywalonymi żarzącą się belką. Cofnął się krok w tył i stanął. „Nie, nie — pomyślał. — Jemu nic nie pomogę, a sam nie zdążę, zatłuką mnie”.

W tej chwili nowa detonacja obaliła go na ziemię.

Gruz sypał się wokół. Padając, znów skaleczył sobie rękę.

— Panie, litości, ja oszaleję z bólu... ratunku... pomóż.

I znów Stach, podnosząc się, zobaczył obraz konającego i przez chwilę zdawało mu się, że to Piotr, że musi wrócić i odwalić tę straszną, ognistą belkę z jego nóg. „Nie, nie, jestem żołnierzem, moje miejsce jest tam, przód”. Podbiegł kilka kroków naprzód i znów detonacja zbiła go z nóg.

„Może to przeznaczenie — pomyślał. — Może Bóg każe mi w ten sposób wrócić i ratować człowieka? Wrócić!”

Chwilę się wahał, jeszcze krok naprzód i zawrócił. „Żeby matka to widziała, natychmiast kazałaby mi wrócić. Jestem przecież przede wszystkim człowiekiem”.

— Już, już idę — szeptał do przywalonego, z trudem przedzierając się przez zasypane przejście.

Pracował ciężko. Odwalał belkę po belce, zrywał dłońmi, kalecząc się, całe złomy zlepionych cegieł i odrzucał za siebie. Przez chwilę czuł, że ktoś ciągnie go za ubranie i woła:

— Panie, coś pan robi, chodź pan do schronu.

Ale Stach, zacięty już w swoim postanowieniu, odwrócił się gwałtownie, odepchnął tamtego i spojrzawszy mu przez chwilę mocno w oczy, wycodził przez zęby:

— Odejdź i nie przeszkadzaj, ja teraz ratuję człowieka — Tamten opuścił oczy i odbiegł.

— Pomocy, panie, zlituj się, ratuj — jęczał straszny głos.

— Już idę, cicho, cicho — mówił Stach nieomal tklawie. Poczuł, że budzi się w nim jakaś serdeczność do przywalonego człowieka. Poczuł, że musi, musi go ratować, że od tego zależy wszystko, że nie usnąłby spokojnie nigdy, gdyby nie posłuchał tego rozpaczliwego, jękliwego wołania. Poczuł braterstwo człowiecze.

— Już, już — mówił, odrzucając ostatnie zapory. — Gdzie jesteś, bracie?

— Tuuu... — zajęczało. — Litości...

Wyczuł pod dłonią szorstkie ubranie i ciało bezwładne, miękkie, pokryte ciepłą krwią. Wzdrygnął się i zatrzymał na chwilę.

— Panie, panie... — jęczał głos.

— Już, bracie, odwalam.

Całym ciężarem podparł przywalający kłoc żelazny. Czuł, że z wysiłku całe ciało zlewa mu się lepkiem potem. Jeszcze raz i jeszcze. Belka upadła z hałasem.

— Niech cię Bóg... — odezwał się zachrypnięty od wołania, straszny głos rannego.

W tej chwili Stach usłyszał wyjący jakby z wysiłku ryk maszyn, jedną, drugą, trzecią detonację i nagle coś, jakby stopa ogromna, obuta w ciemność nieskończoną, wyrzuciła go w powietrze.

Poczuł przez sekundę, przez mgnienie, straszliwe rozdzielanie się całego ciała.

*

Pani Głowacka, z chwilą gdy Stach wyszedł, usiadła przy stole i znów wzięła się do swojej książki. Niepokój o Julka jeżył jej włosy, podmywał je jakby chłodnym płynem, który potem zlewał się do mózgu, spływał w ręce, nogi, w całe ciało, które zdawało jej się puste, wydrążone wewnątrz, i opanowywał, obezwładniał ją z wolna.

— Julek...

Przez chwilę zdawało jej się, że widzi go wędrującego przez szosę pełną ludzi, spłoszonych koni i nieustannego grzmotu kół. Przymknęła oczy. I jak się to czasem zdarza, zobaczyła obraz jeszcze wyraźniejszy. Z tłumy wyłoniła się postać i szła za jej Julkiem. Rozpoznała w niej powoli swojego zmarłego męża. Był wielki, cały w ciemnym ubraniu, a w dłoni nioś bombę z płonącym lontem. Wtedy cała skupiła się, zaczęła wołać wewnętrznym głosem na męża i syna. Mąż z wolna odwrócił się i powiedział cichym, ale

dobitym szeptem: „Nic się nie bój, to ja go osłaniam”. Potem znów zwrócił się w kierunku marszu i szedł za Julkiem krok w krok, aż zniknęli jej z oczu w tłumie pojazdów, koni i ludzi.

Zbudziła się z tego widzenia pokrzepiona, mocniejsza. Wierzyła, nie wiedzieć czemu, mocniej w to swoje przywidzenie niżeli w otaczającą ją rzeczywistość i wiadomości o masakrze na drogach podwarszawskich. W tej chwili postanowiła pod wpływem tego, co ujrzała, otrząsnąć się z odrętwienia i zacząć żyć bardziej spokojnie, aby lepszą być podporą Piotrowi i Stachowi. Kiedy wstała, aby zagrzać nieco wody do dziesiątej chyba dziś z rzędu herbaty, usłyszała stukanie do drzwi.

Poszła otworzyć. W drzwiach stał brudny i zarośnięty drab¹⁸.

— W jakiej pan sprawie?

— Czy to mieszkanie pani Heleny Głowackiej?

— Tak — drgnęła cała z lęku. — Tak, to ja jestem Głowacka.

— Ja tu mam dla pani wiadomość, od syna, zdaje się, Juliusza Głowackiego.

— Ach, panie, niech pan wejdzie, proszę, proszę...

Julek napisał jakimś niezadarnymi literami, widocznie w pośpiechu i w ciemnościach: „Mamo. Jestem zdrowy i cały, wrócę, jak tylko będzie można. Nie martw się. Julek”.

Pani Helena podała herbatę, suchary, wyciągnęła jakieś ukryte konfitury i po dziesięciu minutach dowiedziała się, że człowiek, który przyszedł do niej, był to pan Teodor Hałda, którego Julek spotkawszy na jakimś noclegu ubłagał, jako dawnego znajomego z obozu harcerskiego, o odniesienie wiadomości; pan Teodor bowiem, wbrew wszystkiemu i wszystkim, znudzony wędrowaniem w nieznane, postanowił wrócić do Warszawy.

Otóż i cała historia. Mówił jeszcze o bombach rzucanych na szosy, o setkach zabitych kobiet, dzieci, o panice, o nieustannych nalotach, które nie omijają najmniejszej wsi.

— No, ale tu w Warszawie też nie lepiej, ba, gorzej jeszcze. Ledwo się tu dostałem i jeszcze taką dziwną przygodę miałem po drodze. Oczywiście słyszała pani, jak zaczęli tu w ukos walić, bo o kilka domów stąd — gruzi teraz już leżą — no, i widzę ja, łaskawa pani, że jakiś żołnierz pcha się do zawalonej bramy, odwala belki, cegły niemal rękami rozdrapuje. Myślę, że brama za chwilę się całkiem zawali. Zwariował czy co? Więc ja do niego: „Panie, wylaż pan i idź do schronu”. A on jak się spojrzał na mnie, to myślałem, że mnie zabije. Czy miał ciemne takie, włosy całe od potu zlepione, wysoki, barczysty. „Ja — powiada — człowieka ratuję. Nie przeszkadza!” — powiada. Więc ja w nogi, bo samoloty już nade łbem nowe, i ledwo do bramy naprzeciwko wpadłem, widzę: cały ten dom i bramę, i tego żołnierza, i wszystko, jednym słowem, w proch i w pył, proszę pani, poszło.

— Ale dzielne żołnierzysko — odsapnął, pociągawszy ostatni łyk gorącej herbaty. — Dzielne, tylko że co z tego mu przyszło, ani tamtego nie wyciągnął, ani sam... Et..., cóż to wszystko warte, co komu pisane, to już go nie ominie — westchnął jeszcze. — No, ale mnie do domu trzeba. — Podniósł się i uklonił. — Rączki całuję.

*

Minęło kilka dni groźnych. Minęła straszna, sławna niedziela, kiedy ryk maszyn, świst kul z cekaemów¹⁹ i łoskot rozzdzierających się bomb nie ustawał przez cały dzień. Przyszła wreszcie kapitulacja Warszawy²⁰.

Pani Helena cały ten czas nie widziała synów. Była sama, ale za to pełna wiary, uspokojona nieco wiadomością o Julku i swoim widzeniem.

W dniu kapitulacji przyszedł do niej Piotr, spokojny pozornie, blady, z zaciśniętymi ustami. Rzucił się na tapczan. Milczeli długo. Cisza brzęczała nieznosnie. Zdawało się, że teraz nie nastąpi już nic. Uszy, nieprzywykłe do takiej bezwzględnej ciszy, jaka zapanowała teraz w mieście, wnosily w głęb mózgu jakieś urojone łoskoty, grzmoty, które stawały się niesamowite, nie znajdując swoich odpowiedników w spokojnie stojących, posiekanych

¹⁸drab (pejor.) — rośl. męczyzna, budzący strach i odrazę. [przypis edytorski]

¹⁹cekaem — ciężki karabin maszynowy. [przypis edytorski]

²⁰Przyszła wreszcie kapitulacja Warszawy — w Warszawie po 1 września 1939 r. Polacy przeprowadzali działania obronne stolicy (kampania wrześniowa), które zakończyły się kapitulacją miasta 6 października 1939 r. Stolica i jej mieszkańcy byli w tym czasie intensywnie bombardowani i ostrzeliwani przez artylerię. [przypis edytorski]

szafranami lub rozwalonych całkowicie domach. Pragnęło się nieomal huku maszyn, tego ruchu gorączkowego, pełnego jednocześnie głosów rozpacz i entuzjazmu. Zdawało się, że czas rozpędzony, walący się naprzód z szybkością rozszarpanego domu, nagle, tak jak budynek ukośnie nachylony, zatrzymał się w powietrzu i zawisł. Czuło się, że za chwilę spadnie, zasypując i grzebiąc pod gruzami pozostałych w tym wygasłym mieście, a jednak stał tak czy wisiał ciągle, schylony, niezdecydowany.

— Wszystko się skończyło — powiedział Piotr zachrypniętym, chłopięcym głosem i wybuchnął strasznym, cichym płaczem.

Kiedy siedzieli przy prowizorycznym obiedzie, który pani Helena naprędce przyrządziła, Piotr był już całkiem spokojny. Umył się, przebrał w cywilne ubranie i siedział teraz sztywno przy stole, podobny do woskowego manekina, jakie widzi się na wystawach zakładów krawieckich. Jego twarz nieruchoma nie wyrażała nic.

Pani Helena otrząsnęła się prędzej i pierwszą myślą jej było: „Czy Julek teraz już wróci?” i „Co ze Stachem?”. Podobno (tak mówił pan, Kalinowski) wielu uchodźców zostało odciętych po wkroczeniu bolszewików²¹ i tymczasem powrócić nie będą mogli²². Myślała, że Julek w takim razie byłby poszedł do Kamieńca, gdzie mieszkał jej brat, i u niego by został. Ale wiedząc, że może nawet lepiej by mu tam było, nie mogła pogodzić się z tym, że wiele czasu może upłynąć, nim zobaczy swego najmłodszego syna. O Stacha bała się pytać.

— Stachowi przyznano w końcu, kilka dni temu, ten krzyż walecznych, widziałem, generał podpisał — powiedział sztywnie, z nieruchomą prawie twarzą Piotr, tak aby coś powiedzieć.

— Stach? — pani Helena zaniepokoiła się. — Słuchaj, Piotrusiu, gdzie on się podziewa teraz? Ciągle jeszcze nie przychodzi.

— Ostatnio był chyba na Żoliborzu. Ale od czasu, jakśmy byli u ciebie razem, nie słyszałem o nim jakoś. Pewno zaraz przyjdzie.

Nagle znikł lęk o Julka. Panią Helenę opanowała jedna myśl, tak dotkliwa, tak natrętna, że zerwała się od stołu i poczęła chodzić szybko po pokoju, dreptać do szafy, do kredensu, to znów do stołu, aby jakoś wyładować nurtujący ją niepokój.

Piotr na drugi dzień wyszedł za swoimi sprawami, a pani Głowacka została sama ze swoim lękiem, który z wolna zaczynał się zmieniać w jeżącą włosy na głowie grozę. Odprowadzała myślą Stacha, który wyszedł od niej wtedy wieczorem, tworzyła sama obrazy. Widziała go schodzącego ze schodów, zarzucającego na ramię spadający chlebak, w końcu widziała żołnierza mocującego się w bramie z płonącymi belkami. „Jak to on mówił, ten Teodor Hałda? Wysoki, barczysty, oczy miał ciemne”. Znów zobaczyła postać podobną do Stacha odwalającą gruz i szyny żelazne w ciemnej bramie.

— Stachu! Stachu! — woła, zaciskając pięści tak mocno, aż jej się paznokcie wbijają w ciało. Ale on nie słucha i nie odwracając się, macha na nią ręką: „Nie przeszkadzaj, ja teraz ratuję człowieka”.

A pani Helena chwytą go za ubranie, pragnie odciągnąć go, zobaczyć, czy to Stach, zmusić go, aby odwrócił głowę. Ale on wydziera się z jej rąk. „Nie przeszkadzaj” — mówi niczym głosem i usunąwszy ostatnią zaporę, wbiega na kupę gruzu.

W tej chwili wszystko robi się dziwnie mgliste, ściany bramy wyginają się i bezgłośnie zamykają się za nim.

„Boże, czy to on? Nie, nie, nie, nie można tak myśleć. Nie wolno”.

*

Stach ani drugiego dnia, ani następnych nie przyszedł. Pani Helena biegała po szpitalach, mając jeszcze nadzieję, że go tam znajdzie. Czy to on akurat musiał być? Iluż to jest podobnych do niego mężczyzn. Tylko ten czyn, te słowa: „Nie przeszkadzaj, ja ratuję

²¹bolszewik (pot.) — pogardliwie o osobie ze Związku Radzieckiego. [przypis edytorski]

²²Podobno (tak mówił pan, Kalinowski) wielu uchodźców zostało odciętych po wkroczeniu bolszewików i tymczasem powrócić nie będą mogli — 17 września 1939 r. siły zbrojne Rosji Radzieckiej przeprowadziły atak na Polskę od jej wschodnich granic. Armia Czerwona wypełniła w ten sposób ustalenia tajnego protokołu dodatkowego do paktu Ribbentrop-Mołotow. ZSRR pogwałciło w ten sposób cztery umowy międzynarodowe. [przypis edytorski]

człowieka”, to najbardziej odbierało jej nadzieję. Tak mógł powiedzieć Stach. Szukała go przez tydzień jeszcze. Dopytywała się u jego kolegów, ale mówili, że wycofano ich tego wieczoru z pozycji i Stach pewno nie mógł ich znaleźć w ogólnym zamieszaniu. Coraz bardziej umacniała się w niej straszna pewność, że nie żyje.

Właśnie wracała pani Głowacka ze Szpitala Maltańskiego²³, w którym również nie znalazła Stacha. Szła znużona, zmordowana zupełnie, ledwie powłócząc nogami. Czuła, jak z dnia na dzień coś jak ciężki, ołowiany płyn wlewa się w jej członki. Coraz to wolniej, coraz ciężiej poruszała się, coraz oporniej przychodziły jej poszukiwania. Znali ją już we wszystkich szpitalach i gdy przychodziła po raz drugi, trzeci, odburkiwano coraz opryskliwiej: „Nie ma. Ależ niech nam pani już da spokój!”

Wchodziła powoli na schody, mocno trzymając się poręczy. Było prawie całkiem ciemno. Na drugim piętrze usłyszała, że ktoś, kto widocznie siedział tu na schodach, podnosi się, aby ją przepuścić. Wyjęła klucze.

— Mamo? To ty? — odezwał się nagle spoza jej pleców głos.

— Julek! — Weszli do mieszkania.

Julek był zawszony i obdarty.

— Synku kochany, wykąpiesz się? Co? Chcesz jeść pewno? Chodź, zaraz ci pościelę łóżko.

Zapaliła światło i zobaczyła jego mizerną, ale nieskończenie szczęśliwą twarz.

— Mamo, mamo, jakie to szczęście, że jesteśmy już razem.

*

Żyli więc teraz razem we dwójkę. Piotr zaglądał do nich rzadko. Julek wziął cztery korepetycje, które zajmowały mu cały dzień prawie. Wychodził rano, obiad zjadał na mieście, gdyż między jedną a drugą lekcją nie zdążyłby do domu. Wracał wieczorem, spracowany, jak sam mówił, zamieniony w tabliczkę mnożenia, logarytmy i *Powrót taty*²⁴. Wtedy dopiero, wieczorem, rozpoczynało się ich życie.

Matka wracała wcześniej ze swojej pracy w Opiece Społecznej i już od piątej wyglądała Julka, choć z lekcji wracał dopiero o szóstej. Zbliżyli się też ze sobą bardzo. Całe wieczory, nieraz późno w noc Julek opowiadał matce o swoich sprawach, o uczniach, o kłopotach z zapłatą miesięczną. Schodzili też czasem na rozmowę o życiu, o jego dziwnych komplikacjach.

A najczęściej rozmawiali o Stachu. Teraz gdy go zabrakło, tworzyli wspólnie obraz tego ukochanego syna i brata, mówili o jego charakterze i odwadze, matka opowiadała Julkowi o jego czasach szkolnych, o różnych sprawach życiowych. Julek wspominał go i tak powstał między nimi niejako odrodzony Stach, nieco wyidealizowany, wyzbyty drobnych usterek, czysty, mocny, odważny i szlachetny.

Często czytali razem książki. Tak mijały im miesiące.

Piotr odwiedzał ich tylko w niedzielę, gdyż nie miał chwili wolnej. Oprócz swej pracy na budowie, która zajmowała mu czas do czwartej, całe popołudnia, a nawet noce spędzał na pracach organizacji konspiracyjnych²⁵. Często, gdy przychodził, był tak znużony, że w środku rozmowy usypiał. Przynosił im też gazetki informacyjne, które odczytywali razem w wielkim skupieniu, a Piotr objaśniał, pokazywał ruchy wojsk na mapie. Gdy Julka nie było w domu, Piotr wpadał czasem do pani Heleny i konferowali²⁶ długo. Zostawiał wtedy plik bibuły²⁷, którą potem ona, starannie ukrywając w mufce²⁸ czy w koszu do

²³*Szpital Maltański* — potoczna nazwa instytucji prowadzonych przez Zakon Maltański (Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty), czyli katolicki zakon rycerski o charakterze charytatywnym i medycznym. [przypis edytorski]

²⁴*Powrót taty* — ballada autorstwa Adama Mickiewicza, po raz pierwszy opublikowana w zbiorze *Ballady i romanse* w 1822 jako część tomu *Poezyj*. [przypis edytorski]

²⁵*organizacje konspiracyjne* — polski ruch oporu tworzył swoje struktury już od września 1939 r. na terenie całego kraju. Działania takich organizacji skupiały się na gromadzeniu informacji, przeprowadzaniu akcji sabotażowych, kolportażu podziemnej prasy, pomocy ludności cywilnej. [przypis edytorski]

²⁶*konferować* — obradować, naradzać się. [przypis edytorski]

²⁷*bibuła* (pot.) — nielegalne ulotki, prasa i broszury. [przypis edytorski]

²⁸*mufka* (z niem. *Muffe*) — część ubioru kobiecego popularnego od XVI w.; rodzaj rękawa osłaniającego dłoń przed zimnem. [przypis edytorski]

sprawunków, roznosiła pod adresy, które jej wskazał. Przez długi czas leżały u niej pod materacem pistolety automatyczne, które przyniósł Piotr na przechowanie.

Był to dzień powszedni. Piotr około wpół do szóstej przyszedł dość niespodziewanie.

— Mam urlop, mam, na dzisiaj.

— O, Piotrusiu, to doskonale, zjesz u nas coś porządnego, odpoczniesz, no i nagadamy się do syta. Może zostaniesz na noc, to dłużej będziemy razem?

— Dobrze, mam, z chęcią. Mają do mnie tu telefonować, jak nie wezwą mnie nagle, to zostanę. Poczekaj, oddam ci jeszcze tę paczkę. Dziś musi u ciebie na noc zostać.

— Co to jest, Piotrusiu?

— Coś grubszego.

— Armata może? — zażartowała pani Helena.

— Nieomal. To jest cekaem. Oczywiście rozebrany na części. Gdzie go schowasz?

— Może tym razem, dla odmiany, schowam u siebie w pokoju, w szafie.

— Oj, czy to tylko dobre miejsce szafa?

— No, to za książkami, tak się rozłoży w kilku paczkach.

— O, to mi się podoba. Chodź, mam, zaraz, pomogę ci to ułożyć.

Przeszli do szafy bibliotecznej do stołowego.

Piotr ostrożnie zdejmował książki, przepakowywał części karabinu w osobne mniejsze paczki i układał z tyłu na półce. Potem z powrotem ustawił książki, a największą paczkę zasłonił grubymi tomami. Potem porozumiewawczo spojrzeli na siebie z matką.

— Ale Julkowi ani słowa.

— Ani słowa.

— Wiesz, może to i źle, mam, że my go tak odsuwamy od tej roboty, ale...

— On taki jeszcze dziecinny — szepnęła niepewnie pani Helena.

— E, nie taki na pewno, jak sobie to wyobrażasz, i całe szczęście, że masz go przy sobie, nie możesz być zupełnie sama. Po stracie Stacha... A ja w dodatku tylko gościem jestem u ciebie...

— Nie, nie, ma chłopak jeszcze czas. Stanowczo.

Usprawiedliwiali tak właściwie swoje słabości. Matka — pragnienie jak najdłuższego zatrzymania chłopca przy sobie i nienarażania go, Piotr — swoją miłość do brata i miłość do matki. Chciał, aby Julek był dla niej tylko, aby mógł złagodzić jej boleść po utracie Stacha.

— Lepiej zresztą zrobi chłopak, jak będzie czytał, uczył się, nie wszyscy muszą leżeć w robotę, której nie zawsze potrafią sprostać. Jak popracuje nad sobą, to więcej pożytku Polsce przyniesie.

— Tak, tak.

Zadzwoniono do drzwi.

— Julek idzie, chodźmy.

Przy kolacji, kiedy rozmowa w pewnym momencie urwała się, Piotr rzucił mimochodem:

— A właśnie. Muszę wam powiedzieć, że wczoraj zaręczyłem się.

— Piotrusiu! — ucieszyła się pani Helena.

— I co więcej, za miesiąc się pobierzemy. Znasz ją — dodał po chwili — to Krystyna Siwicka, z którą chodziliśmy na spacer wtedy na letnisku w Nałęczowie. Pamiętasz?

Matka ucałowała go, a Julek ze sztubacką rubasnością²⁹ potrząsnął rękę Piotra, poklepał go po plecach i rzekł:

— To klawo, stary, bardzo się cieszę, to fajna panna.

— No, no, już ty tylko nie stosuj do mojej narzeczonej takich tam swoich głupkowatych określeń — śmiał się Piotr.

Pani Helena była szczęśliwa. Już widziała Piotra z jego przyszłą żoną, młodych, wysokich, pięknych, a co więcej, gdzieś w pobliżu, niby to niezależnie od nich, wyobrażała sobie małe dzieciątko, różowe, śliczne dzieciątko, które pakuje gwałtem do ust wielki palec od nogi. Jej największe marzenie może się teraz spełni — będzie miała wnuka. Może Bóg da jej go na miejsce Stacha, może znów ich będzie miała trzech. Ich trzech: Piotr,

²⁹sztubacka rubasność — charakterystyczny dla młodej osoby bezpośredni i bezceremonialny sposób bycia. [przypis edytorski]

Julek i on — maleńki następca. „Ależ, o czym ja myślę! O czym ja myślę! — zawstydyła się nagle. — Przecież oni się dopiero zaręczyli”.

Gadali jeszcze długo. Każdy szczęśliwy, że zdobędzie swoje. Piotr — że Krystyna będzie jego żoną. Pani Helena — że będzie miała wnuka. Julek — że będzie miał taką piękną bratową i jak pójdzie z nią i z Piotrem w Aleje, a spotka przypadkiem Henia i Jurka, to zdębieją, jak ją zobaczą.

Nagle zadzwonił telefon.

— Na pewno do mnie — Piotr zerwał się od stołu i podbiegł do telefonu.

— Tak, tak... ja... dobrze... Koniecznie?... Dobrze, dobrze... No, to do zobaczenia.

Wrócił z miną zatroskaną.

— Niestety, muszę iść.

— O, jaka szkoda!

— Trudno, cóż robić. No, do widzenia.

Ucałowali się i Piotr wyszedł.

*

Julek rozbierał się z wolna. Potem, już w piżamie, wszedł do pokoju matki.

— Wiesz, mam, tyle teraz aresztowań³⁰. I wszystkich wiozą do Oświęcimia³¹. Wszystkich. Chyba że rozstrzelają od razu. Wczoraj słyszałem, że Jurka Godowskiego aresztowali. Dziś znów Stacha kolegę, tego pana Józefa, wiesz, tego z czarnymi, małymi wąsikami. Spotkałem wczoraj Halinę i opowiadała mi to. Szaleją zupełnie te szkopy. Co za bydlę przekłete.

— Albo te łapanki³² — dodała pani Helena. — Przecież to tysiące ludzi wprost z ulic, niezaangażowanych w żadną robotę, a nawet brali przecież z domów. To straszne, straszne. Oni ich tam zabijają głodem i w dodatku... biją, tak strasznie biją — zakończyła drżącym głosem.

— Słabsi wytrzymają tam miesiąc, dwa i... koniec — dodał Julek.

— Idź, synku, spać — powiedziała, nie chcąc, by zobaczył jej łzy.

Dotąd nie wyobrażała sobie, nie myślała po prostu o tym, aby i ją mogło spotkać takie nieszczęście, żeby jej syna...

To ją trzymało. Była dzielna, energiczna, prowadziła dom, roznosiła już nie tylko gazetki, ale brała czynny udział w zebraniach. Teraz te słowa Julka, że słabsi wytrzymują w obozach miesiąc, dwa, dziwnie ją zaniepokoiły. Zawsze mówiła, że Julek jest słaby, gdyż był nietęgiego zdrowia. I z tego właśnie słowa „słaby” wysnuła się myśl niepokojąca, męcząca, która z wolna opanowywała ją coraz bardziej. Przecież i jemu to grozi, jak i innym, przecież on, choć w nic nie jest zamieszany, jak tysiące innych może dostać się gdzieś tam — do więzień, obozów.

Pani Helena leżała już od godziny i nie mogła usnąć. Męka jej wzrastała ciągle. Wyobrażenia podsuwała jej coraz okropniejsze obrazy, w których i ona występowała, tak układając jakby, jak ma się w różnych takich sytuacjach zachować, brnęła coraz dalej

³⁰aresztowania — podczas II wojny światowej aresztowania były powszechną formą represji stosowaną przez okupantów. Działania te miały na celu eliminację opozycji, terroryzowanie ludności, a także realizację planów eksterminacji. Gestapo i inne służby niemieckie aresztowały osoby podejrzane o działalność konspiracyjną, Żydów, inteligencję, a także przypadkowych ludzi w celu zastraszenia społeczeństwa. Aresztowani byli poddawani torturom, wywożeni do obozów koncentracyjnych, obozów pracy lub więzień, a wielu z nich zostało zamordowanych. [przypis edytorski]

³¹obóz koncentracyjny *Auschwitz-Birkenau* — obóz zagłady w okupowanym przez Niemców Oświęcimiu zaczął swoją działalność w 1940 r. pod rządami nazistowskiej formacji SS. Początkowym przeznaczeniem obozu było przetrzymywanie w nim polskiej inteligencji oraz Polaków należących do ruchu oporu. Później więziono niemieckich kryminalistów, radzieckich jeńców wojennych, księży i Żydów. Pierwsi więźniowie byli zmuszani do rozbudowy obiektu własnymi rękami, nie mając jeszcze własnego schronienia. [przypis edytorski]

³²łapanka — jedna z metod terroru stosowanych przez niemieckie władze okupacyjne na ziemiach okupowanych. Polegały na nagłym otaczaniu ulic, placów lub domów przez niemieckie patrole (Wehrmacht, SS, Gestapo lub policji) i zatrzymywaniu przypadkowych przechodniów w celu deportacji na przymusowe roboty do Niemiec, osadzenia w więzieniach, wysłania do obozów koncentracyjnych lub jako zakładników przeznaczonych do egzekucji odwetowych. Łapanki przeprowadzano często w dużych miastach, zwłaszcza w Warszawie, gdzie stanowiły codzienne zagrożenie dla ludności cywilnej i miały na celu zastraszenie społeczeństwa oraz przeciwdziałanie działalności konspiracyjnej. [przypis edytorski]

w swoich rozmyślaniach i nie mogła wyzwolić się od coraz bardziej oplątującej ją sieci lęku.

Usłyszała z daleka, z ulicy, krzyki. Drgnęła cała z niepokoju. To znów. Słyszała, jak na dole otwierają się drzwi i ktoś w ciężkich, okutych butach wchodzi po schodach. Lęk w miarę, zbliżania się kroków do drugiego piętra rósł w niej. Na każdym stopniu człowiek ów zatrzymywał się przez chwilę, jakby się wahał czy szukał w ciemnościach. Słyszała najwyraźniej, jak w połowie pierwszego piętra zatrzymał się i szurał butami, stukał nimi w ścianę, jakby czyszcząc z błota. Potem zaczął wchodzić wyżej, powoli, niepewnie, a kroki jego słyhać było coraz wyraźniej. Pani Helena zaczęła się bać jak dziecko nasłuchujące odgłosów nocnych. Uczuła, że cała zlane jest potem. Pomyślała, że to idzie śmierć, zwykła śmierć, którą wyobraziła sobie dziecięco, naiwnie, jako szkielet ubrany w ludzkie odzienie, szkielet o lodowatych palcach. Spod ciemnej czapy widać błyszczącą, białą twarz trupa. Człowiek przystanął na drugim piętrze i szukał rękami w ciemnościach. Namacał klamkę jej drzwi. Pani Helena omal nie krzyknęła. Potem usłyszała, jak z wolna, zmęczonymi, niepewnymi krokami szedł wyżej. Zrobiło jej się wstyd. „Stara baba jestem — pomyślała — a taka głupia”.

Biła pierwsza. Wraz z lękiem przed krokami na schodach spłynęły męczące myśli i niepokoje i odrzuciwszy koldrę ze zgrzanego ciała, zasnęła mocno.

Nagle zbudził ją jakiś natarczywy łoskot. Wyrwana z głębokiego snu, nie mogła się początkowo zorientować, co to jest. Po chwili dopiero, rozbudziwszy się zupełnie, zrozumiała, że to łoskot do drzwi.

W progu stanął rozespany Julek.

— Mamo?

Pani Helena w milczeniu spojrzała na niego. Przez tę chwilę przebiegło jej przez myśl tak wiele rzeczy, sytuacji, możliwych zdarzeń, że nie powiedziała ani jednego słowa. Poruszyła nieznacznie zmartwiałymi ustami, jakby chcąc powiedzieć choć kilka słów. Ale myśli biegły z błyskawiczną szybkością. Zresztą było już za późno. Bito w drzwi kolbami pistoletów i słyhać było skrzyp podważanych desek. Zdrętwiała, na nogach, które były miękkie i bezwładne, powlokła się do drzwi. Łomoty kolb ucichły.

— Kto tam? — wyszeptała, jakby chcąc przedłużyć tę chwilę, jakby zastanawiając się nad tym, że trzeba coś jeszcze, koniecznie trzeba powiedzieć Julkowi, który stanął, drżąc z chłodu i zdenerwowania, w drzwiach korytarza.

— *Polizei, schnell!*³³ — I huk kolby jak wystrzał uderzył w drzwi i zgaśł. Otworzyła. Pierwszy wpadł niski, przysadzisty gestapowiec³⁴ z wysuniętym naprzód rewolwerem. Szybko ogarnął wzrokiem panią Helenę, jej ręce, twarz, spojrzał w dwie strony korytarza, rzucił okiem na Julka stojącego w progu pokoju i nagle rozprężył się. Skinął w ciemności klatki schodowej i już spokojnie, powiedział:

— Wszystkie stać, ne rursch szie.

Za nim weszli trzej wysocy gestapowcy i jeden również wielki drab w cywilu. Ostatni zatrzasnął za sobą drzwi, oparł się o nie plecami i wyjął pistolet. Cywil powiedział do pani Heleny po polsku:

— Proszę z nami.

Przy Julku stanął mały oficer z dobytym pistoletem i ruchem głowy wskazał na chłopca.

— A ten to kto? — pytał cywil.

— Mój syn.

— Aaaa... syn? — udał zdziwienie.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego, który pozostał przy drzwiach, weszli do pokoju. Julek i pani Helena stali w białiznie, boso, podczas gdy tamci rozbiegli się po pokojach. Pani Helena słyszała z pokoju Julka łoskot wysuwanych szuflad, potem świst bagnetu³⁵ i darcie materiału. Rozpruwali tapczan i poduszki. Julek stał znieruchomiał, ciągle nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje. Tymczasem w pokoju Julka ktoś z łoskotem zwałwał obrazy na ziemię, szukając, za nimi rozlewał się brząk tłuczonego wśród zamieszania wazonu. Ktoś zerwał widocznie bibułę z biurka, gdyż słyhać było rozdzieranie się papieru.

³³*Polizei, schnell!* (niem.) — Policja, prędko! [przypis edytorski]

³⁴*gestapowiec* — funkcjonariusz politycznej policji III Rzeszy. [przypis edytorski]

³⁵*bagnet* — ostrze umieszczone na lufie karabinu, służy do walki wręcz. [przypis edytorski]

— Tam — to pokój czy? — spytał cywil.

— Syna.

Pani Helena opanowała się nagle i zaczęła się modlić, a właściwie prosić w duchu kogoś nieokreślonego: „Żeby tylko ominęli książki, żeby do biblioteki nie zajrzeli, o, żeby nie zajrzeli”.

Przez chwilę słychać było jeszcze skrzyp odsuwanej szafy. Na progu ukazało się dwu gestapowców, czerwonych z wysiłku i wściekłych. Nie znaleźli nic. Teraz, wraz z pozostałym w stołowym małym oficerem, wzięli się do pobieżnej rewizji pokoju stołowego, który był zarazem pokojem pani Heleny. Ścierpła cała ze strachu. Ściągnęli serwetę ze stołu, którą potem chodząc podeptali zabłoconymi butami, przewracali naczynia w kredensie, rozpruli kanapę. Jeden przechodząc obok pani Heleny pchnął ją z wściekłości w piersi dobytym pistoletem, tak że zatoczyła się i upadła.

Julek rzucił się naprzód, cały błądy ze wściekłości.

— *Halt!*³⁶ — chwycił go za kark mały oficer i uderzył go w twarz. Julek rozplakał się jak dziecko.

Rewizja była skończona. Cywil wydobyl złotą papierośnicę i częstował kolegów papierosami. Palili, szwargocąc do siebie po niemiecku i kręcąc się po pokoju.

Julek i pani Głowacka stali ciągle bez ruchu, wpatrzeni w każde drgnienie rewidujących. Widząc, że rewizja skończona, pani Helena zaczęła się jakoś wewnętrznie odprężyć. Do nóg zaczęła dopływać krew i twarz jej, do teraz biała jak płótno, zaróżowiła się lekko.

Podczas gdy Niemcy naradzali się między sobą, cywil odsunął się w kąt, oparł się o ścianę i obojętnie rozglądał się po pokoju. W pewnej chwili jego niebieskie, przejrzyste oczy sadysty nagle zdradziły jakiś niepokój i skupienie. Po chwili uśmiechnął się nieznacznie, wrócił do swojego obojętnego wyrazu i spytał półgłosem:

— Czyje to książki?

— Moje — wyrwał się Julek.

— Ach, tak? Twoje? Aha — mruknął do siebie i powoli podszedł do szafy.

Pani Helena uczuła, jak serce stanęło jej w piersiach, a przez krzyż spłynął lodowaty dreszcz jak wąski strumień zimnej wody.

Cywil, podszedłszy do szafy, szybko zaczął zwałować tomy z jednej półki na podłogę. Hałas padających książek zwrócił uwagę pozostałych gestapowców. Odwrócili się pytająco w jego kierunku. On zaś, zwaliwszy największe książki, wyciągnął paczki owinięte starannie w papier. Szybko rozerwał sznurek, podszedł do stołu i wysypał części karabinu maszynowego.

— *Ah so!*³⁷ — zapytał przeciągle, spojrzawszy na Julka. — A więc to tak? — W jednej chwili krew nabiegła mu do twarzy, zaczął krzyczeć coś po niemiecku, schwycił Julka za ubranie na piersiach i zaczął z całej siły bić go i kopać w brzuch.

Pani Helena rzuciła się w kierunku Niemca i w tej samej chwili osunęła się na ziemię, nieprzytomna. Jeden z wychodzących, przechodząc obok, kopnął ją nogą, aby odsunąć z drogi jej wyciągniętą rękę. W rozprutej kanapie zabrzęczała głucho sprężyna i jakaś książka spadła z półki, zamykając się z [?] ³⁸ klaskiem.

*

Był dzień wiosenny, marmowy. Chmury szybko biegły po niebie, odsłaniając jaskrawe słońce, to znów zbijając się w wielkie, ołowiane tamy, które pogrążały miasto w szarym zmierzchu. Pani Helena siedziała jak zwykle w wielkim fotelu przy oknie. Obok leżała na wznak na łóżku jej synowa Krysia. Czytała książkę i czasem tylko z westchnieniem odrywała od niej wzrok, i z twarzyczką szarą, znużoną wodziła oczami po ścianach pokoju. Dziś lub jutro miało nastąpić rozwiązanie.

Była już piąta, a Piotr ciągle nie wracał.

Pani Helena po raz setny zziębniętymi palcami sięgała po trzy białe urzędowe kartki leżące obok, na stoliku. Były to dwie wiadomości od Julka: jedna sprzed roku, druga —

³⁶ *Halt!* (niem.) — Stój! [przypis edytorski]

³⁷ *Ah so?* (niem.) — Ach tak? [przypis edytorski]

³⁸ [?] — miejsce nieczytelne w rękopisie. [przypis edytorski]

wysłana w dwa tygodnie po pierwszej, i trzecia — wiadomość o śmierci. Umarł w Oświęcimiu. Po dwóch miesiącach.

Pani Helena bardzo zmieniła się. Jej twarz, zawsze pełna i mimo zbliżających się pięćdziesięciu pięciu lat różowa i nieomal dziewczęca, stała się teraz zapadła i zamarała w tragicznym wyrazie. Mówiła niewiele, prawie nic. Nikt nie widział łzy w jej oczach. Po nocach tylko, przez sen, kiedy traciła moc jej żelazna wola, płakała długo i budziła się z głową ukrytą w mokrej od łez poduszce. Przeprowadziła się do Piotra zaraz po aresztowaniu Julka. Nie miała już co robić w tym strasznym, pustym, zdemolowanym mieszkaniu. Nawet mebli nie wzięła prawie wcale ze sobą. Zostawiła wszystko tak, jak było: roztrzaskane szkło, powywalane z półek książki, rozdarte poduszki i rozprute tapczany. Potem tylko Piotr przyniósł jej najpotrzebniejsze rzeczy i zabrał trochę książek.

Dopiero teraz, po roku blisko, gdy miało się urodzić, dziecko, ożywiła się nieco, zajęła domem, zaczęła pomagać Krysi. Ba, od tygodnia sama prowadziła gospodarstwo.

„Teraz zostaliśmy sami — myślała. — Dziecko już chyba okupiłam wszystkim, co miałam”.

Wnuk stał się teraz jej jedyną nadzieją, wyłączną myślą.

Na dworze zaczął siąpić drobny, chłodny deszcz. Rozległ się dzwonek u drzwi.

— No, jak tam z Krysią? — pytał Piotr i nie słuchając odpowiedzi, nie zdejmując palta, wszedł do pokoju. Pani Helena zostawiła ich samych i poszła do kuchni, aby wykończyć i podać obiad. „Trzeba iść po akuszerkę — myślała. — Kupić coś na jutro, przygotować śniadanie, bo rano gazu nie będzie, jak zwykle. No i jeszcze... Aha. Przygotować Piotrowi na jutro bieliznę, nareperować skarpetki, co tam jeszcze?”

Wreszcie zapukała lekko do ich pokoju.

— Chodź, Piotrusiu, na obiad, Krysi przyniosę tutaj.

Usłyszała, jak Piotr wstaje i z wolna, ciężkim krokiem podchodzi do drzwi.

— Idę już, mam.

Przy jedzeniu zachowywał się niespokojnie i nerwowo. Jadł szybko, wpatrzony w ścianę przeciwną.

— Jak myślisz, mam? Jak będzie z tym... z tym... porodem?

— Nic, nic, synku, wszystko będzie dobrze. Wiesz, Krysia jest tak dobrze zbudowana, a mimo osłabienia jeszcze dość silna. Pamiętasz, doktor powiedział, że będzie jej bardzo łatwo rodzić.

— Tak? Nie pamiętam — dziwił się Piotr, nie słuchając nawet dobrze, co mówiła. Pragnął nie tyle argumentów, ile samego głosu matki, dobrego, łagodnego, który zawsze wszystkie jego sprawy przesądzał tak spokojnie, decydująco, że nabierał pewności co do swojego szczęścia życiowego, i troski stawały się lżejsze, łatwiejsze do zniesienia.

Wstał wreszcie od stołu, ale nie wychodził z pokoju. Podeszedł do okna.

— Mam — powiedział niepewnym głosem.

— Co, Piotrusiu?

— Muszę dziś iść tam. Wiesz?

Pani Helena zaniepokoiła się.

— Nie, Piotrusiu, już dziś daj spokój, zostań, i to koniecznie. Dziś nie wychodź.

— Mam!

— Absolutnie ci zabraniam!

— Mam, ale ja muszę. Wolałbym nie, ale muszę, ty wiesz, że jak dziś tam nie pójde, to jutro pismo nie wyjdzie. Muszę zanieść wiadomości.

Pani Helena nie odpowiedziała zrazu. Zaczęła się nagle bać, takim zwykłym, przerażliwym strachem.

— Piotrusiu, nie chodź. Błagam, cię — dodała jeszcze niepewnym, zaleknionym głosem, gdy wychodził z pokoju. — Piotrusiu. Nie mów tylko Krysi.

Zapadał już zmrok. Krysia czuła się bardzo źle. Piotr, rozmawiając z nią i z panią Heleną, wtrącił mimochodem:

— Wiesz, Krysenko, będę musiał wpaść dziś do Tadeusza. Mam tam jedną sprawę. Biurową.

— Idź, idź, lepiej dziś tu nie siedź. Jeżeli możesz, to zostań tam na noc. Dziś pewno w nocy wszystko się odbędzie, to lepiej, żebyś nie był w domu i nie denerwował się.

Pani Helena przybladła nieco, ale milczała.

Piotr pożegnał się. Przed wyjściem wszedł jeszcze do łazienki, wyciągnął spod wanny drewniane pudło, a z niego pistolet automatyczny. Załadował i wsunął do kieszeni.

— Jak ty sobie tu dasz radę, gdyby... — szepnął jeszcze w progu do matki.

— Nic się nie bój — odszepnęła. — Będzie dobrze.

Na dworze tymczasem deszcz ustał i wśród chmur płynących szybko jak łódzie z bystrym prądem wiatru ukazał się księżyc.

Piotr wszedł do tramwaju. Było prawie zupełnie pusto. W przyćmionym świetle ledwo było widać dwie babiny zasypiające i drgające w takt kołysania wozu. W końcu wagonu siedział konduktor.

— Wiosnę mamy, proszę pana, co? — powiedział do Piotra i ziewnął szeroko.

Zaczęli leniwą rozmowę. Gadali o pracy w tramwajach, o ciężkich czasach, jak to zwykle konduktor z pasażerem.

[Ale widać było³⁹, że konduktor pragnie coś innego powiedzieć, coś bardzo intymnego, a ta rozmowa o pogodzie i tramwajach była tylko pretekstem.

— Wie pan co? Syn mi się wczoraj urodził — wybąkał wreszcie ni z tego, ni z owego i rozpromienił się cały w jednej chwili.

Piotr ożywił się.

— No i jak, zdrowy? Wszystko dobrze poszło?

Pomyślał, że od odpowiedzi konduktora zawisł los jego dziecka, że jeśli tam wszystko się udało, to i u nich wszystko pójdzie dobrze.

— Doskonale, panie, chłop zdrowy jak rydz. Wrzeszczy od rana do nocy.

— A żona?

— Trochę słaba jeszcze, jak to zwykle teraz kobieta: i nieodżywiona, i po porodzie, to zawsze będzie trochę słabować.

— Wie pan, bo u mnie to dzisiaj właśnie... tego... dziecko się ma rodzić...

— No, niech się pan nie martwi. Ja też myślałem, że ze skóry wylizę, zanim do domu ze służby wróciłem, a potem, panie, tom się tak cieszył jak... jak... nie wiem!

Tak ich zbliżyła ta rozmowa, że coraz bardziej zagłębiali się w różne swoje sprawy. Zdawało się, że byli znajomymi, nawet przyjaciółmi od lat.

Piotr wyjrzał przez okno:

— No, to muszę już wysiadać.

— Niechże się też panu zdrowy dzieciak urodzi!

— Dziękuję, dziękuję serdecznie.

Uścisnęli sobie mocno dłonie i Piotr wysiadł.

Szedł przez otwarte pole, a ciepły wiatr rozwiewał mu palto. „Wszystko się uda! pomyślał. — Na pewno”.]

Wszedł między małe, zgrabne domki dawnej kolonii oficerskiej. W końcu stanął przed żółtą willą. Dom stał w niewielkim ogródku otoczonym siatką drucianą. Piotr zbliżył się do furtki. Nagle jak spod ziemi wynurzyła się postać:

— Kto to? — spytał ostry głos.

— Emil — odpowiedział Piotr.

— A doskonale, wejdźcie, już czekamy na was od pół godziny.

Furtka otworzyła się i Piotr, przywitawszy się z wartownikiem, wszedł do domku.

— Witajcie — uścisnęli sobie ręce.

W jasno oświetlonym pokoju było trzech mężczyzn i jedna kobieta. Piotr wyjął z kieszeni mały pakiecik i rzucił na stół. Młoda, wysoka kobieta, żona jednego z obecnych tam ludzi, schwyciła go i szybko zeszła do piwnicy. Dochodził stamtąd stłumiony łoskot maszyny drukarskiej.

Piotr przysunął się z krzesłem do wysokiego, barczystego mężczyzny, który siedział obok. Rozmawiali. Rozłożyli przed sobą jakieś papiery i dyskutowali zajadle, pochyleni nad nimi, ćmiąc papierosy, jednego za drugim. Zbliżała się północ.

— Henryk, podaj nam kawy — rzucił, nie podnosząc głowy znad stołu towarzysza Piotra.

³⁹*Ale widać było (...)* *Na pewno*. — fragment ten, zaznaczony nawiasami kwadratowymi, został skreślony w rękopisie, ale przywrócono go w druku źródłowym. [przypis edytorski]

Jeden z mężczyzn podniósł się, wyszedł do kuchni i przyniósł szklanki. Po chwili napełnił je czarną kawą. Przyniósł małe pudełeczko z sacharyną⁴⁰.

— Gotowe — oznajmił szeptem. — A tu macie chleb. — Wyciągnął bochenek z małej walizeczki.

Kiedy żując powoli i pijąc kawę gadali dalej, nagle usłyszeli warkot samochodów i hałas zatrzymywanych motorów. Zerwali się od stołu, przewracając szklanki z kawą i sięgnęli po rewolwery. W tej samej chwili w ogródku rozległ się krzyk i padły trzy strzały rewolwerowe.

Piotr otworzył gwałtownie okno. W jednej chwili ogarnął wzrokiem całą sytuację. W ogródku stał za świerkiem wartownik z podniesionym jeszcze po strzale pistoletem. Jeden z gestapowców leżał nieruchomo, rozciągnięty na oświetlonej księżycem uliczce. Inni w pośpiechu ukrywali się za ciężarówką.

Tymczasem wewnątrz pokoju zgaszono światła. Dolatujący z piwnicy łoskot maszyny ucichł. Do pokoju wpadła kobieta i trzech zasmolonych drukarzy. Wysoki mężczyzna wysunął szybko szufladę: rozdał im pistolety i ładunki.

— Będziemy się bronić. Sprawa skończona. Żywcem im się nie oddamy.

Piotr podsunął myśl:

— Może byśmy się spróbowali wydrzeć, jest dopiero jeden samochód. Zanim przyjadą inni...

Ale w tej samej chwili usłyszano wycie zajeżdżających samochodów. W przeciągu kilku minut dom był otoczony.

— Oszczędzać ładunków — powiedział głucho barczysty mężczyzna.

Chwycili pistolety i otworzyli wszystkie okna.

Piotr stał ukryty za framugą i z wyciągniętej ręki wyrzucał z wolna strzał za strzałem. Dwie sylwetki napastników zachwiały się i runęły.

— No, strzelasz jak zwykle pierwszorzędnie — odezwał się jeden z obrońców.

Tymczasem gestapowcy strzelali nieomal na oślep i zasypywali gradem kul pokój. Lampa na stole prysnęła z brzękiem, postrzelony obraz zakołysał się i spadł ze ściany.

W pewnej chwili strzelanina ustała.

Piotr pomyślał nedorzecznie: „A może teraz będę mógł już wrócić do Krysi”.

W tym samym prawie momencie ogłuszający huk i blask obalił go na ziemię. Rzucono pierwszy granat ręczny. Zaraz po nim padły następne. Dwu mężczyzn legło bez ruchu, z rozrzuconymi nogami. Kobieta z urwaną ręką krzyczała przeraźliwie i z roztrzaskanego kikuta tryskała krew jak z fontanny. Dwaj pozostali i drukarze zrepetowali pistolety⁴¹ i znów poczęli strzelać. Następny granat roztrzaskał resztę mebli w pokoju i zostało w nim tylko dwu żywych: Piotr i drukarz. Obaj byli ranni. Piotr miał przestrzeloną prawą rękę i potłuczony był silnie przez deski rozbitego dębowego stołu. Leżał na ziemi i sięgał lewą ręką po pistolet.

„Aby nie wzięli żywcem, ostatnia kula sobie w łeb” — pomyślał i cały wytężony, aby dosięgnąć broni, z ręką wyciągniętą, z palcami rozczapierzonymi, stracił przytomność.

*

Była już dziewiąta rano. Pani Helena stała przy oknie i od czasu do czasu odchodziła w głąb pokoju, aby podać coś Krysi lub żeby zajrzeć do wrzeszczącego wniebogłosy wnuka. Krysia leżała na poduszkach, wyczerpana, biała. Jej twarzyczka stała się jeszcze mniejsza, bolesna i szara.

Na niebie wzeszło już słońce. Dzień był pogodny. Czyste wiosenne powietrze niesło zapach ciepła i rozgrzanej ziemi. A naprzeciw słońca stał na niebie wielki, okrągły księżyc, jak blednąca z wolna tarcza stoczonych bojów.

Po tej nocy twarz pani Heleny stała się popielata, postarzała, policzki miała zapadłe, z odcieniem sinym. Mocno znaczyły się koło ust i na czole głębokie bruzdy niedoli. Wiedziała już wszystko.

Zastukano z cicha do drzwi. Stał tam młody człowiek w czarnym palcie, z niegolonym od kilku dni zarostem.

⁴⁰sacharyna — syntetyczny środek słodzący. [przypis edytorski]

⁴¹zrepetować pistolety — przeladować, przygotować broń do strzału. [przypis edytorski]

— Ja w sprawie Piotra...

Weszli do pokoju. Młodzieniec, nim zaczął mówić, rozglądał się nerwowo po pokoju i miał w rękach czapkę.

— Proszę pani... — zaczął łamiącym się głosem.

— Nie żyje? — spytała jeszcze ciszej pani Helena.

Odpowiedź uwieźła mu w gardle. Skinął milcząco głową.

— Obiegli willę... granaty... Piotr ranny... na badanie przewieźli. Nie wytrzymał... słaby, wpływ krwi... bili... — mówił urywając i niespokojnie.

Gdy drzwi się zamknęły, pani Helena z wolna przeszła do kuchni. Stała nad maszynką gazową i z wolna, mechanicznie odkręciła oba kurki. Gaz zaczął szeleścić sucho i rozszedł się wokoło mocny zapach. Ostatni syn. Dosyć. Koniec. Zaczęła chciwie, prawie z rozkoszą wchłaniać śmierć. Poczula szum w uszach.

Nagle z pokoju, jakby przez grubą zasłonę, dobiegł ją płacz niemowlęcia.

— Mamo! Mamo! — zawołała Krysia.

Pani Helena drgnęła. Stała chwilę nieruchomo. Na twarz uderzyły jej ognie. Poczula prawie że wstyd. Nie, tak nie wolno, to za łatwe.

Zamknęła gaz i weszła do pokoju.

— Kto to był? — zapytała słabym głosem Krysia i uniosła głowę.

— Przyjaciół Piotra, ten właśnie pan Tadeusz, u którego nocował. Powiedział, że Piotr musiał wyjechać nagle... Sprawa pilna... Wróci za tydzień.

Krysia opuszczała głowę na poduszki i zasnęła nagle.

Pani Helena spojrzała na jej umęczoną twarz i bezradnie rozłożone ręce, na palcach podeszła do wózek, w którym płakał mały Janek. Zdecydowanym ruchem wyjęła dziecko i zaczęła je przewijać.

— Cicho, dziecino, cicho... Musimy ich pomścić.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Domena publiczna - Krzysztof Kamil Baczyński zm. 1944.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/baczynski-matka/>

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Gąsior, Aleksandra Sekuła, Julia Jaworska, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).